

Rzeczpospolita

WARSZAWA

DZ. Nr

30

05-02-2002

Teatr Fatalny „Amadeus” w warszawskim Studio

Suedama

Prawda o konflikcie artystycznych interesów między Antonio Salierim, nadwornym kompozytorem cesarskiego dworu w Wiedniu przełomu XVIII i XIX wieku a muzycznym geniuszem Wolfgangiem Amadeuszem Mozartem, znakomicie opisana przez Petera Shaffera w sztuce „Amadeus”, w przedstawieniu warszawskiego Teatru Studio, została, niestety, postawiona na głowie (stad tytuł).

Listę zarzutów otwiera najważniejszy – widz nie znajduje powodu, dla którego reżyser Zbigniew Brzoza postanowił uruchomić maszynę teatralną. Inscenizacja jest doskonale nijaka – nie zmierza w żadnym określonym kierunku i doкладnie nic z niej nie wynika.

Grzechem drugim jest brak bohater. Zbigniew Zapasiewicz w roli Salieriego od początku pokazuje, jak bardzo swej postaci nie lubi. W jego wykonaniu jest to człowiek zawistny, podły, cyniczny, po kunktatorsku zdążający do wyeliminowania konkurenta. Nawet niebios traktuje instrumentalnie. Jego rozmowa z Bogiem nie jest wybuchem rozpacz bezsilnego w mizerii swego talentu artysty, lecz popisem nieuzasadnionej pychy.

Mógłbym się zgodzić na taką interpretację, gdyby Zapasiewicz choć na mgnienie ujawnił jakikolwiek ludzki wymiar postaci. Próżne nadzieje! Aktor relacjonuje stosunek Salieriego do świata i bliźnich na jednej, tej samej, sarkastycznej nucie, w konsekwent-

nie złowieszczo-ponurej tonacji. Od początku do końca jest więc taki sam – abominacyjny i obleśny, czyniąc z własnych kompleksów oręż przeciw światu. Ale nawet Ryszard III, który postanowił zostać lajdakiem, umiał wzbudzać współczucie, w momencie zwyczajnie ludzkiej słabości. Wrednego i zimnego jak głaz Salieriego Zapasiewicza nie mają się uczucia. Żaden przełom w nim nie następuje.

Z Mozartem granym przez Andrzeja Mastalerza problem podobny. Pokazany został w kilku krótkich scenach, pozostawiając wrażenie postaci trywialnej, bez cienia oglądy, wulgarnej w wypowiedziach i poczynaniach. Ani wykonawcy, ani reżyser nie uczynili nic, byśmy mieli jakikolwiek powód, by przejąć się tymi antypatycznymi osobnikami.

Na ich tle, jak i kilku pomniejszych postaci, jedynie Agnieszka Grochowska – studentka Akademii Teatralnej – grająca żonę Mozarta, Konstancję Weber ujmowała niewymuszonym wdziękiem mło-

dości i temperamentem. Postacie epizodyczne z niewyjaśnionych powodów udawały starców przełamanych w pól, co można było odczytać jako niezamierzony komentarz do całego chybionego przedsięwzięcia, w którym nawet muzyka zdawała się być użyta nie w porę, zatracając swój budujący napięcie charakter.

Ponad 20 lat czekała Warszawa na tę premierę, mając w pamięci poprzednią inscenizację (Romana Polańskiego w Teatrze Na Woli z 1981 r. z olśniewającymi rolami Tadeusza Łomnickiego w roli Salieriego i reżysera jako Mozarta). Najnowsza premiera to zdecydowany falstart.

Janusz R. Kowalczyk

Peter Shaffer „Amadeus”, w przekładzie Bogumiła Trełkowskiego, reżyseria Zbigniew Brzoza, scenografia Dorota Kołodzyńska, muzyka Wolfgang Amadeusz Mozart, Antonio Salieri, w opracowaniu Jacka Grudnia, układ ruchu Emil Wesołowski, premiera 31 stycznia 2002 r., Teatr Studio, Warszawa.